ŚWIATŁO

Rok VI. Bytom G.-Sz., 15. Listopada 1892. **Nr. 22.**

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste Nr. 81) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

W ZŁOTEJ KLATCE.

OPOWIADANIE Z PRAWDZIWEGO ZDARZENIA.

Byłem wówczas od niedawna dopiero na wyższej szkole rygskiej, kiedy zdarzyło mi się, że niemając co robić w domu z długim zimowym wieczorem, wyszedłem bez celu na ulicę. Szedłem przed siebie, gdzie mnie oczy poniosą i niewiem jak daleko byłbym zaszedł, gdyby mi drogi nie zastąpił kolega. Był to Stach, wesoły radomiak, jakeśmy go zwali, poczciwy chłopak, z którym żyliśmy bardzo dobrze, — to też zaraz mnie zapytał:

— Gdzież tak leziesz krecie ziemny?

— Prosto nosa — odparłem. — Nie wiem co robić z całym dzisiejszym wieczorem.

— Ach otóż to szczęśliwe usposobienie! — zaczął trzepać po swojemu, nudzisz się! Żebym to ja kiedy mógł się nudzić, ale gdzietam, człowiek zawsze goni za czasem. Czekaj dam ci radę. Idź do nowego cyrku, kiedy nie masz nic lepszego do roboty. Warto, na honor warto! Byłem tam wczoraj i dziś chętniebym poszedł, tylko obiecałem być u Julka. Ale idź sam, zobaczysz tam niezrównanego malca, któremu naprawdę warto dać złoty medal za odwagę i zręczność... Dla niego jednego warto iść. Ale ja tu mielę, a tam na mnie czekają. Do widzenia kolego, do jutra...

Spieszył się widocznie, bo zwykle mówił jeszcze więcej, i za chwilę znikł mi z oczu. Spojrzałem na zegarek... była właśnie pora na przedstawienie. Co prawda wielkiej ochoty nie miałem, ale wreszcie zwróciłem się tedy w stronę, gdzie od kilku dni przybyły podobno z Hamburga ogromny cyrk stał. Kupiłem ostatni bilet i za chwilę znalazłem się w murowanym wielkim budynku zapełnionym po brzegi publicznością. Przedstawienie tylko co rozpoczęto. Cyrk był rzeczywiście pierwszorzędny. Nie można się było dość napatrzyć wybornie tresowanym koniom, zachwycającym powierzchownością i rasą, zręczności skoczków, prawdziwemu dowcipowi błaznów... Słonie, te zdaje się do niczego niezdatne, ociężałe zwierzęta, chodziły po linie; małpy, przebrane za hufiec zbrojnego wojska pod wodzą orangutana, dokazywały cudów waleczności w potyczce z oddziałem psów na czele, ale

wszystko to nie sprawiało tak miłego wrażenia, jak ukazanie się niewielkiego chłopczyny, który na sześciu grubych łańcuchach wprowadził, jak pieski na wstążeczkach, sześć prześlicznych lwów afrykańskich.

Orszak ten wkroczył poważnie na arenę, lwy mruczały głucho, uderzone nagle jasnością świateł; niektórym jeżyły się grzywy i o piasek biły niecierpliwie ogonami. Między widzami powstał szmer jakby niepokoju. Rzeczywiście, można było doznać wzruszenia na widok sześciu tych najniebezpieczniejszych mieszkańców pustyni, puszczonych wolno niemal wśród tłumu, bo cóż znaczyło, że przytrzymywało ich takie dziecko? A ten chłopczyk, może ośmioletni, drobny, szczupły, z niewinnym wyrazem wielkich ciemnych ocząt i bladym uśmiechem na ustach, miał w sobie dziwny czar jakiś, który chwytał za serce. Jasne włosy spadały mu w puklach do ramion; miał na sobie obcisłe ubranie białe ze złotem, które odkrywało mu całe ręce i nogi powyżej kolan. Wyszedł na środek, złożył dziecinny wdzięczny ukłon i zbliżywszy się do wbitego w ziemię żelaznego pala założył nań trzymane w ręku, kółka od łańcuchów. Publiczność uspokojona tem widocznie, zaczęła sypać oklaski i z niektórych stron usłyszałem głosy: Harry! Harry! Chłopczyna kłaniał się, słał ręką całusy, a skoro wrzawa ustała, zwrócił się ku lwom, które rozłożywszy się na piasku, okazywały większą ochotę do drzemki niż do popisów. Trzeba mu było widocznie rozbudzić ich z tego stanu, bo podchodząc cicho do każdego, począł ich łechtać szpicrutą po nosie i uszach. Zwierzęta zrazu strzygły uszami, wstrząsały skórą, potem, zaczęły mruczeć z wzrastającem zniecierpliwieniem aż wreszcie podniosły się z ziemi i wyciągnąwszy ociążałe członki, poczęły biegając zakreślać koło, tak wielkie na jakie im pozwalała długość łańcuchów. Były podraźnione, bo chrapały dziko i zatrzymując się czasem wydawały ryk, który wstrząsał całym gmachem.

Ale Harry nie ustępował jeszcze. Wciąż biegł za niemi i zręcznie to podcinał szpicrutą, to szarpał obrożami lub ciągnął za uszy; widocznie nie dość mu było na tem. Lecz wkrótce dopiął swego, lwy zostały doprowadzone do gniewu... Trzeba było ich widzieć wtedy własnemi oczami, by mieć pojęcie całej grozy. Sześć rozwścieczonych bestyi, ryczało rwąc się z łańcuchów i czaiło kocim ruchem do skoku ku temu, który doprowadziwszy ich do tego stanu stał teraz spokojnie, a od naprężonych kajdan dzieliło go zaledwie parę kroków. Stał z założonemi rękami i bacznie śledził każdy ruch zwierząt. Widać było jakąś dumę czy wyższość w tej postawie, to też można sobie wyobrazić wrażenie, skoro nagle nachylił się gotując do skoku, zrobił krok naprzód i jednym susem znalazł się w samym środku... Publiczność wydała okrzyk przerażenia.

Z sześciu paszczy wyszedł również ryk jakby radosny i bestye rzuciwszy się w skokach ku środkowi, wzniosły ciężkie cielska ponad główką dziecka. Kilkanaście łap uzbrojonych w ostre pazury gotowało się do pochwycenia ofiary, kiedy stała się rzecz dziwna. Ryk ucichł nagle i jakby za dotknięciem czarodziejskiej różczki, lwy, w pokornej warującej postawie znalazły się dokoła stojącego w środku chłopięcia.

A on z podniesionemi w górę nagiemi rączkami, z oczami błyszczącemi jak gwiazdy i biało ubrany wyglądał na anioła co skinieniem uśmierza rozwścieczone dzikie zwierzęta... W sali rozległ się szmer uwielbienia połączony z radością. Oklaski zagłuszyły na chwilę grającą orkiestrę, Harry! Harry! krzyczano zewsząd hurraaa! brawo! hoch kleiner Harry! wołali zachwyceni niemcy.

Dziękował, rozdając rękami ukłony i pocałunki, uśmiechał się dumnie i niedługo ująwszy znów sześć łańcuchów spokojnych już zwierząt, znikł za zasłoną. Wywoływano go jeszcze, jakby nie mogąc się dość napatrzyć odważnemu dziecku, i skoro raz jeszcze wyszedł by się ukłonić dziękując za okazywane tak żywo wrażenie, przystąpił do niego sam dyrektor cyrku i szepnął mu coś do ucha.

Chłopcu zniknęły naraz z twarzy ciemne rumieńce, zawachał się jakby, a wtem ucichło w sali.

— Y thank you! — zawołał dziecinnym swym głosikiem drżącym jakby od wzruszenia, poczem wybiegł spiesznie.

— Aa, ten odważny dzieciak, jest zatem anglikiem! — usłyszałem za sobą rozmowę dwóch niemców, skoro na arenie zrobiło się już pusto. — No tak to zaraz znać. Ani Francuz, ani Włoch, ani Polak, ani nawet Niemieç nie byłby takim odważnym. Tylko ci wyspiarze angielscy mogą mieć tak dzielnych synów... Nie wiem dlaczego, ale zrobiło mi się tak dziwnie przykro, usłyszawszy te słowa. Uczułem coś niby żal do tego chłopca za to, że był Anglikiem. Zaraz potem skończyło się przedstawienie. Wyszedłem z cyrku zadowolony ze spędzonego wieczoru, tak dalece nawet, iż nazajutrz o tej samej porze z kilkoma kolegami znów znalazłem się w tej sali. Mimowolnie, z pewną niecierpliwością nawet wyglądałem pojawienia się tego »nieustraszonego« jak go zwały dzienniki, i doznałem przyjemnego wrażenia, gdy z poza odchylonej zasłony wypadło nagle pięć swawolnych, nieosiodłanych, karych rumaków, a na środkowym, trzymając lejce od uzdeczek wszystkich pięciu stojący Harry. Ubiór węgierski podnosił jeszcze jego wdzięczną urodę, kłaniał się małą czapeczką i pokrzykując na konie hep! hep! naglił je do coraz szybszego galopowania.

Wierzchowce nie potrzebowały wielkiej podniety, same rwąc się do biegu, niezadługo więc rącza piątka rozrzucając piasek kopytami, zakreślała koło tak szybkie, iż trudno było rozróżnić wyraźnie postać stojącego nań chłopca. Pochylił się tylko cokolwiek i dla dodania odwagi sobie czy też koniom wydawał niezrozumiałe okrzyki. Naraz, wyprostował się, szarpnął lejcami, krzyknął głośniej, i w jednej chwili rozpędzone ogiery, zaryły w piasku tylnemi kopytami i przysiadły na zadzie, zatrzymując się w miejscu.

Biała piana toczyła im się z pysków, całe pokryły się potem, on jeden tylko nie okazywał zmęczenia i usiadłszy na jednym, objeżdżając stępem arenę obojętnie poprawiał na sobie ubranie i dumnym ruchem głowy odrzucał z czoła rozsypane w pędzie bujne włosy. Odpoczynek trwał krótko. Ze strony widzów nie przebrzmiały jeszcze oklaski, kiedy Harry znów w stojącej postawie przebiegał koło coraz szybciej. Można było sądzić, że nastąpi powtórzenie poprzedniego dowodu zręczności i siły, ale stało się inaczej. Po pewnym czasie, kiedy konie galopowały w całym rozpędzie, puścił lejce związawszy je poprzednio w jeden węzeł i przebiegłszy parę torów z założonemi na piersi rękami, lekko zeskoczył na środek areny. Następnie skłoniwszy się za brawo czapeczką, zatarł spocone dłonie i gdy niezwalniająca piątka nadbiegała w całym szale, poskoczył rzucając się wprost pod jej kopyta. Widzowie zatamowali oddech, lecz po chwili trwogi zabrzmiał wnet okrzyk zdumienia. Harry, rzuciwszy się pod konie, uchwycił zręcznie razem związany węzeł z lejc, został zrazu szarpnięty i podniesiony w górę, przez ogiery, co nagle zaskoczone stanęły dęba, parę kroków dał im się unieść, poczem ściągnął tak silnie, że stanęły jak wryte w ziemię. Podobne ćwiczenie powtórzył parę razy po chwilowym odpoczynku, a zawsze z równą zręcznością. Doprowadziło to do takiego zachwytu widzów, że bębenki w uszach pękały od wrzawy oklasków, a kiedy mały bohater miał już zejść z areny, poczęto z lóż porzucać mu bukiety. Na ten widok poczerwieniał cały, puścił trzymane w ręku konie, które też zaraz wybiegły za kulisy, i z dziecinnym pośpiechem zaczął je zbierać uśmiechając się smętnie, skoro na pochylonego przy zbieraniu, padały jeszcze kwiaty i trafiały go w twarz lub plecy.

Wyszedł z rękami pełnemi i dumną minką, jak gdyby był przekonany, że tak dzisiaj jak zwykle był bohaterem przedstawienia. I tak też było w istocie. Wzbudził tak sympatyczne uczucie, że wątpię, czy w całym cyrku znalazł by się ktoś nie ujęty odwagą i samą

postawą chłopczyka. My, studenci podziwialiśmy go nawet, nikomu jednak prócz tego zachwycania się z areny nie przyszło na myśl poznać bliżej historyę jego życia. Mówię to z prawdziwym żalem, i mnie przecież nie byłoby się to udało, gdyby nie zrządzenie prostego przypadku. Zdawało się pewnie wszystkim, że temu chłopcu zasypywanemu po każdym występie kwiatami, braknąć mogło jeżeli czego, to gwiazdki z nieba. Codziennie stroili go inaczej, by tylko wieczorem kilku bohaterskimi czynami, które nie zdawały się zresztą nic go kosztować, ściągnął na siebie grzmot oklasków i krzyki podziwu roznamiętnionego tłumu.

Czy jednak dawało mu to szczęście, osądzicie niebawem sami... Pewnego wieczoru, (gdyż stale niemal zaglądałem do cyrku), przedstawienie było już w połowie, skoro opuściwszy swoje miejsce na galeryi, które tanim sposobem udało mi się zakupić na cały czas występów, zbiegłem na dół i wsunąłem się przez odchylone drzwi stajni, chcąc tam bliżej przyjrzyć się przepysznemu koniowi, mającemu dziś właśnie służyć do popisu Harremu. W stajni było prawie pusto; na drugim końcu długiego budynku, przy tylko co sprowadzonych z areny koniach, kręciło się zaledwie kilku posługaczy, usiłujących je rozebrać. Nie mając się nawet kogo zapytać, puściłem się w jednę stronę i o kilka kroków ujrzałem konia. Szybko zbliżyłem się do niego i podziwiając jakby dłutem rzeźbione kształty stepowca, nie mogłem się powstrzymać od głośnego zachwytu.

— Pyszny koń — zawołałem do siebie półgłosem, jak zwykli czynić ludzie czujący się samymi i niemając przeto z kim podzielić przyjemnego wrażenia — budowa jak u araba, szyja, nogi, zachwycające!...

Stałem jeszcze w podziwie, gdy nagle poza sobą usłyszałem szelest jakiś. Obejrzałem się i w półcieniu kąta stajni obok stosu siodeł, i przygotowanych na noc wiązek siana ujrzałem coś małego wysuwającego się na światło wiszącej u góry latarni. Zwolna, to coś, przybierało coraz wyraźniejsze kształty i wkrótce poznałem chłopczyka, który z przezornym pośpiechem przystąpił do mnie. Światło latarni padło nań jedną smugą, i ujrzałem przed sobą bohatera chwili. Mały Harry na ubranku, pełnem ozdób i świecideł miał zarzucony zniszczony bardzo sukienny płaszczyk, który naciągał jak mógł na ramiona drżąc cały, bo choć w stajni było dość ciepło dla koni, nie mogło ochronić od zimna nagiego prawie dziecka.

Popielate pukle w nieładzie spadały mu na czoło i plecy, twarzyczkę powlekała przezroczysta bladość a obwódki w około oczu świadczyły, iż musiał płakać. Stanąwszy przy mnie, podniósł szybko głowę, inteligentnym rzutem oczu w około siebie przekonał się, że jesteśmy sami, poczem tłumiąc głos z jakąś gorączkową radością i pośpiechem zawołał:

— O Boże! Pan jesteś Polakiem — nieprawdaż?...

Zostałem zdumiony. — Zkąd ten mały Anglik może umieć po polsku? stanęło mi pierwsze w myśli pytanie.

— A ty, wszak jesteś Harrym? — zapytałem w zamian odpowiedzi.

— Ja, ach tak panie! — tak mnie przezwano w istocie, ale ja nie byłem nigdy Anglikiem... Co za szczęście. Więc tak? pan jesteś Polakiem?... O, bo i ja nim jestem!...

Wyprostował dumnie swą drobną postać, płaszczyk zesunął mu się z ramion, wystawiając na zimno gołe ręczyny, a on z pałającemi oczyma i drżącym tłumionym głosem ciągnął:

— I ja jestem Polakiem. Cóż robić jednak? Musiałem się tego zaprzeć i muszę milczeć, by się niczem nie zdradzić i nie zasłużyć na baty... O bo pan nie wie! Chociaż niczego w świecie się nie lękam i zdaje mi się, że nie uląkłbym się śmierci nawet wcale, ale bicie tak trudno znosić cierpliwie... Pan nie wie, jak to boli... jak to okropnie boli!...

Zakrył sobie twarz rękami i zaczął łkać.

Ja stałem zdziwiony. Z pomiędzy tych bezładnych, gorączkowych słów dziecka zaczęła mi przeświecać smutna,

ciemna rzeczywistość. Sercem odgadywałem jego dolę, przyznaję, że zaciekawiała mnie potrochu, i wreszcie uczułem ochotę przyjść mu z pomocą o ile to będzie możliwe, a ku czemu nakłaniały ludzie, jedni wyszli na arenę popatrzyć na przedstawienie, inni zmęczeni, pokładli się między końmi na sianie, byliśmy prawie sami. Malec uspokoił się zwolna i jakby przypomniawszy sobie



ZŁOTY KUBEK. (Obacz wiersz na str. 342).

mnie dwie rzeczy: obowiązek rodaka i dziwna jakaś sympatya, którą uczułem od pierwszego ujrzenia go w roli pogromcy strasznych zwierząt. W stajni zrobiło się tymczasem całkiem pusto, o mojej obecności:

— Przepraszam — zaczął niepewnym jeszcze od płaczu głosem — że pana zaczepiłem, ale ja tak dawno czekam na to, żebym mógł powiedzieć ja-

kiemu Polakowi, tak aby nikt z tutejszych nie słyszał, że nie jestem Anglikiem!...

— Pan jest studentem — ciągnął spojrzawszy na moję czapkę, to niech pan powie o tem wszystkim swoim kolegom. Ja niechcę, żeby mnie mieli za Anglika, niechcę... niechcę — powtarzał z uporem dziecka.

— A dla czegóż tak ci o to chodzi? — zapytałem.

— Dlaczego? — powtórzył patrząc mi poważnie w oczy — dlaczego? pan wie o tem... oczy mu błysnęły, uśmiechnął się...

(Ciąg dalszy nastąpi).

ZŁOTY KUBEK.

Wszczerem polu na ustroni,
Złote jabłka na jabłoni,
Złote liście pod jabłkami,
Złota kora pod liściami.
Aniołowie przylecieli,
W porankową cichą porę:
Złote jabłka otrząsnęli,
Złote liście, złotą korę.

Nikt nie widział w całym świecie,
Ludzkie oczy nie widziały,
Tylko jedno małe dziecię,
Małe dziecię z chatki małej.
Pan Bóg łaskaw na sierotę,
Przyleciała z nad strumyka,
Pozbierała jabłka złote,
Zawołała na złotnika.

— Złotniczeńku! zrób mi kubek,
Tylko proszę zrób mi ładnie;
Zamiast uszka, ptasi dzióbek,
Moją matkę zrób mi na dnie.
A po brzegach na około,
Liść przeróżny niech się świeci;
A po bokach małe sioło,
A na spodku małe dzieci!

— Ja ci zrobię śliczny kubek,
I uleję wszystko ładnie:
Zamiast uszka — ptasi dzióbek,
Twoją matkę zrobię na dnie;
A po brzegach na około,
Liść przeróżny się zaświeci;
A po bokach małe sioło;
A na spodku małe dzieci.

Ale czyjeż ręce, czyje,
Będą godne tej roboty?
Ale któż się nim napije?
Komu damy kubek złoty?
Kto się w dłonie wziąć ośmieli?
W złotem denku przejrzyć lice?
Sam Pan Jezus i Anieli,
I Marya i Dziewice. —

— Złotniczeńku! patrz weselej...
Czemu twoje w łzach źrenice?
— Sam Pan Jezus i Anieli,
I Marya i Dziewice!

T. Lenartowicz.

O właściwym ciężarze.

Pogadanka naukowa.

Kiedy jeszcze byłem chłopcem, musiałem często pomagać matce w wyciąganiu wody ze studni. Studnia nasza była tak zbudowana, że na kołowrocie wisiał węborek na mocnym łańcuchu; gdy się chciało wody nabrać, trzeba było łańcuch na kołowrocie odkręcić i węborek śpuścić aż do wody. Czasem odkręciłem łańcuch, jak daleko tylko było można tak, że węborek był głęboko w wodzie. Kiedym wtedy zaczął wodę dobywać, spostrzegłem, iż dopóki węborek był jeszcze cały we wodzie zanurzony, to mi się nadzwyczajnie lekko wykręcało, ale jak tylko stanął nad wodą, to się zaraz taki ciężki robił, jakby kto do niego ciężki kamień wrzucił. Czasem sił mi zabrakło, aby go wykręcić na wierzch.

Moi przyjaciele szkólni też takie same doświadczenia z tem robili, a jeden z nich, syn rybaka, opowiadał nam,

że gdy ojciec zapuści niewód na jezio-rze, to choćby bardzo obfity połów ryb był, dopóki sieci we wodzie, łatwo je uciągnąć, ale jak nad wodą, to trudno. Drugi przyjaciel, syn stolarza, powiadał znów, że małe dziecko nawet uciągnie we wodzie grubą belkę, którejby na lądzie ani nie ruszyło. Trzeci zaś mówił, że przekonał się, jako pies wielki kamień wrzucony do wody, z łatwością w pysku uniesie, dopóki płynie z nim we wodzie. Bardzo często widział, że gdy pies z kamieniem na powierzchnią wody wypłynął, to już kamienia utrzymać nie mógł, bo był za ciężki.

Te wszystkie spostrzeżenia tak nas zajęły, że poprosiliśmy naszego nauczyczyciela, aby nam wyjaśnił, dla czego się to tak dzieje? Pan naczyciel bardzo się z tego ucieszył i tak nas pouczył, oczywiście w polskim języku, bo inaczej nie bylibyśmy z tych niełatwych rzeczy ani kapki zrozumieli.

Pomyślcie sobie, moje dzieci, że jaki człowiek ma podnieść miech, w którym się znajduje ciężar 100-funtowy. Jeżeli chłopiec jaki pomaga mu w tem ze wszystkich sił, to oczywiście ów mężczyzna nie będzie podnosił wszystkich 100 funtów, tylko pewna część tychże, choćby mała, przypadnie na owego chłopca. Przypuściwszy, że chłopiec uniesie 20 funtów, to w takim razie mężczyzna tylko 80 funtów trzyma. — Albo inny przykład. Widzieliście już pewnie, jak wciągają belki przy budowlach. Jedni ciągną belkę za górny koniec, zwykle za pomocą sznura, a drudzy podpychają za dolny koniec. Gdyby tylko ci z góry, albo ci z dołu belkę wciągali, toby to była trudniejsza robota i robotnicy musieliby większy ciężar podnosić.

W ten sam sposób możemy sobie wytłómaczyć, jak to jest z ciężarem węborka z wodą przy studni, gdy jest jeszcze we wodzie. Woda pomaga w podnoszeniu węborka. Zawiera ona bowiem w sobie pewną siłę podnoszącą, która pewną część ciężaru węborka niejako na siebie bierze tak, że łańcuch całego ciężaru nie czuje. Skoro jednak węborek stanie ponad wodą, to owa siła ustaje i wtedy węborek w całym ciężarze zawiśnie na łańcuchu. Z tego wynika, że ciężar jakiejbądź rzeczy zmniejsza się, gdy jest we wodzie.

Najlepiej można się o tem przekonać przy następującem doświadczeniu: Weźmijmy jaką linijkę albo kawałek drzewa i przywiążmy na każdym końcu na nitce równie ciężkie kulki ołowiane. W środku linijki zaś przywiążmy nitkę i zróbmy niby wagę, to zobaczymy, gdy dobrze środek linijki odmierzyliśmy, że waga będzie w równowadze, bo na obu końcach wisi równy ciężar. Skoro jednak jednę kulkę zanurzymy we wodzie, to niezanurzona kulka się zniży, a koniec linijki, na której zanurzona kulka wisi, się podniesie. Kulka stała się tedy lżejszą we wodzie; straciła niecoś ze swego ciężaru. Gdy ją zaś znowu z wody wyjmiemy, to znów będzie tak ciężka, jak kulka z drugiego końca. Jeżeli się przy tem doświadczeniu weźmie istotną wagę, to się można dokładnie przekonać, ile kulka waży we wodzie, a ile waży, gdy nie jest we wodzie.

Przekonano się, że każdy przedmiot jest we wodzie o tyle lżejszy, ile waży woda, którą on ze swojego miejsca wypiera. Jeżeli wpuszczę do wody kamień, który ma 1 kubiczny decymetr wielkości, to oczywiście w miejscu, w którem ten kamień we wodzie leży, nie może być wody, bo tam kamień miejsce zajmuje, a więc ów kamień wyparł czyli wypchnął 1 kubiczny decymetr wody. Jeżeli naczynie, w które kamień wpuściłem, było pełne aż do samego brzegu, to właśnie 1 kubiczny decymetr wody ze szklanki się wyleje. Wiemy, że tyle wody waży właśnie 1 kilogram czyli 2 funty, a na wadze możemy się przekonać, że ciężar kamienia w wodzie właśnie o 2 funty się zmniejszył.

Jeżeli zamiast kamienia wezmę kawałek żelaza, ołowiu, koprowiny i t. p. tej samej wielkości (1 cbdm.) i we wodę wrzucę, to się przekonam, że ubytki ciężaru zawsze 2 funty wyniosą czyli, że woda podejmuje się niejako unosić ciężar 2 funtów. 1 kubiczny decymetr żelaza waży 14 funtów, we wodzie tedy





Ubiory włościan na Żmudzi. (Zob. obj. rycin na str. 352.)

tylko 12 funtów, 1 kub. decymetr złota waży 38 funtów, we wodzie tylko 36 funtów i t. d. Ciężar cisnący ku dołowi jednak zawsze jest większy, aniżeli siła podnosząca wody i dla tego kamień, żelazo, ołów i t. d. spadają na dno.

Jeżeli jednak włożę we wodę 1 kub. decymetr korka, to gdy się całkiem zanurzy, wyciska także 2 funty ciężaru wody, to znaczy woda prze do góry z siłą 2 funtów. Ale ponieważ ten kawał korka tylko $^{1}/_{2}$ funta waży, przeto siła wody ma tutaj górę, korek wypływa na powierzchnię i pływa po wodzie.

Z tego wynika, że jeżeli jaki przedmiot waży mniej, niż wypchnięta przez niego ilość wody, to pływa po powierzchni wody; jeśli zaś waży więcej, to spada na dno wody.

Przedmioty pływające po wodzie zanurzają się rozmaicie, jedne mniej, drugie więcej; przy jednych spory kawał wystaje nad wodę, przy innych ledwie kawałeczek. Kawałek korka naprzykład widać prawie cały, gdy po wodzie pływa; kawałek drzewa bukowego zaś zaledwie trochę wystaje nad wodą. Albowiem przedmioty pływające zanurzają się tak we wodzie, aż wyprą w owem miejscu tyle wody, ile same ważą. Taki przedmiot wciska się i układa we wodzie tak, jakoby był częścią wody.

Ale wróćmy jeszcze raz do owego węborka przy studni. Czuliście dobrze, gdyście go wykręcali, że we wodzie bardzo był lekki. Gdybym wam był jednak powiedział, że ów węborek napełniony wodą jest we wodzie lżejszy, aniżeli próżny węborek nad wodą, tobyście mi może nie byli zrazu uwierzyli. A jednak tak jest. Słuchajcie! Ciężar wody znajdującej we węborku, jeżeli tenże jest we wodzie równa się zeru czyli nie ma ciężaru, albowiem przedmiotem zajmującym miejsce w wodzie jest woda sama. Chodziłoby tedy jeszcze o ciężar drzewa, z którego węborek jest zrobiony. Ponieważ drzewo pływa po wodzie a woda prze je ku górze, przeto ciężar wiszący na łańcuchu wynosi właściwie mniej, aniżeli nic, a gdybyście go ręką wydobywali, nie czuli-

byście żadnego ciężaru, pominąwszy ten ciężar nieznaczny, który mają cząstki wody, znajdujące się ponad węborkiem. Gdyby tak nie było, jakżeby było możliwą rzeczą, aby pies zdołał ciało człowieka, który utonął, z wody dobyć i do brzegu przyciągnąć?

Porównywano ciężar wielu przedmiotów czyli ciał z ciężarem równie wielkiej ilości wody i przekonano się, że n. p. 1 kubiczny decymetr wody waży 1 kilogram; 1 kub. decymetr złota waży 19 kg.; 1 kub. decymetr cynku waży 7,29 kg. Złoto tedy jest 19 razy, cynk zaś 7,29 razy cięższe od wody, to jest od równej ilości wody (a więc od 1 kub. decymetra). Liczba, która powiada, o ile jaki przedmiot cięższy jest od wody, nazywa się **ciężarem właściwym** (po niem. specifisches Gewicht) owego przedmiotu. Jeżeli tedy słyszymy, że właściwy ciężar żelaza wynosi 7,21, to znaczy to, że pierwszy lepszy kawałek żelaza jest 7,21 razy tak ciężki, jak równa mu ilość wody.

Znajomość ciężaru właściwego ma wielkie znaczenie, bo za jego pomocą można się dobadać, czy jaka materya (ciało) jest prawdziwa i czysta. Można n. p. poznać, czy pieniądz jest podrobiony, można różne materyały dokładnie rozróżnić.

Nie trudną jest rzeczą oznaczyć ciężar właściwy przy przedmiotach stałych; za pomocą wagi można się łatwo o tem przekonać. Dla ciał ciekłych wynaleziono osobny instrument, zwany areometrem, którym się mierzy ciężar właściwy.

Butelka napełniona wodą idzie do dna, a próżna, zakorkowana pływa po wodzie. Dla czego to? Przecie jakby wrzucić kawałek szkła w wodę, to zaraz tonie. Butelka z powietrzem, zamkniętem w niej, jest lżejsza, aniżeli ilość wody, która zajęła miejsce powietrza i szkła. W ten sposób można sprawić, że przedmioty, które co do ciężaru właściwego cięższe są od wody, pływają, gdy im się nada kształt, który miejsce zajmowane (volumen) znacznie zwiększa, nie zmieniając ciężaru. Tem sobie też można wytłómaczyć, dla czego mała płyta z blachy utonie, a miska z blachy pływa, a także dla czego wielkie żelazne okręty pancerne i inne okręty nie idą na dno, lecz pływają.



Ubiory włościan na Żmudzi. (Zob. obj. rycin na str. 352.)

Ciało ludzkie ma mniejszy ciężar właściwy, niż woda, dla tego pływa po wodzie. Ale różnica w ciężarze jest bardzo mała, za czem idzie, że z tym może być źle, kto wpadnie do wody a pływać nie potrafi. Gdyby miał przytomność

umysłu a położył się w znak, głowę w tył zarzucił a ramiona trzymał pod wodą, toby mógł swobodnie oddychać i na wodzie się utrzymać. Lecz tonący w trwodze wielkiej wymachuje rękami i nogami, przez to dostaje się głową pod wodę i człowiek tonie. Ażeby ułatwić pływanie, przywięzują sobie niektórzy pod ramionami pęcherze, napełnione powietrzem albo też pas korkowy.

Ciężar właściwy obliczył sławny grecki matematyk Archimedes, żyjący około r. 220 przed Chrystusem. W jaki sposób, to na inny raz opowiem.

Wspomnienia z życia ks. Sebastyana Kneippa.

(Dokończenie.)

Sebastyanowi było bardzo przykro, że nie mógł nikomu powiedzieć o swojej ucieczce z domu. Dziwili się wszyscy, że miał tylko jednę koszulę, i że w swojem biednem ubraniu chodził na codzień i na święto. Najprzykrzej było mu, gdy w niedzielę szedł do kościoła, gdzie go wytykano palcami. Burmistrzowa dała mu kilka starych koszul po swoim mężu, ale ubranie stawało się z każdym dniem gorsze. Pewnego dnia usłyszał Sebastyan, jak burmistrz mówił do swojej żony: »Nie podoba mi się ten nasz student, nie przysyłają mu rzeczy, nikt o niego nie pyta, musi być jakaś przyczyna, dla której jest tak opuszczony.«

Sebastyan przelękniony, myślał, że go burmistrz oddali, ale burmistrzowa ujęła się za nim. »Nie czyń mu nic złego« mówiła »widzisz, jak jest dobry i pracowity; widzę sama, że jest bardzo nieśmiały i w ciągłej żyje obawie, ale dopomaga każdemu, z rąk odbiera robotę, żal mi go.« Od owej rozmowy upłynęło sześć tygodni; pewnego dnia, gdy powracał z obiadu od budowniczego, zastał w domu swoją siostrę, która dowiedziawszy się nareszcie o jego pobyciu, odszukała go i opowiedziała burmistrzowi o jego ucieczce z domu, gdzie w ciągłej troszce żyli o niego, wiedząc, że bez pieniędzy i w lichem odzieniu dom opuścił.

Tak się wszystko wyjaśniło, burmistrz mu w delikatny sposób brak otwartości zarzucał, ksiądz mówił, że wybór stanu jest w ręku Boga i tak pogodzony ze wszystkiemi, pracował spokojnie dalej. Teraz trapiła go obawa, aby go nie wzięto do wojska, coby naturalnie było zwichnęło całą jego przyszłość. Zależało to od szczęścia przy losowaniu. Kto wyciągnął numer niski, był żołnierzem, numer wysoki uwalniał od wojska. Przy ostatniej stawce wyciągnął Sebastyan z urny numer 121 pomiędzy 132 numerami; 63 był żołnierzem ostatnim. Tak więc odwrócił Pan Bóg od niego największy kłopot, jaki go chwilowo dręczył.

Wkrótce potem ksiądz Merkle został przeniesiony do Augsburgu, dokąd i Sebastyan się udał, aby dalej korzystać z jego nauki. Po upływie nie spełna roku, powołano księdza na profesora do Dillingen.

Ponieważ Sebastyan miał zamiar wstąpienia do gimnazyum, kazał mu ksiądz Merkle udać się także do Dillingen i napisał list polecający do rektora tamtejszego gimnazyum. Tu jednak natrafił Sebastyan jak najniespodziewaniej na nowe trudności. Rektor przeczytawszy list, oświadczył mu, że nie ma zaufania do starych studentów i że go nie przyjmie. Miał kiedyś w klasie starego młynarza, z którym nie mógł przyjść do końca i nie chce drugi raz próbować ze starym tkaczem. Na drugi dzień udał się Sebastyan jeszcze raz do rektora, który go tym razem jeszcze prędzej odprawił.

Odważył się jeszcze trzeciego dnia stanąć ze swą prośbą przed rektorem, ale ten zniecierpliwiony, wyrzucił go za drzwi. Poszedł tedy napowrót do Augs-

burgu (16 godzin w jednym dniu) do swego opiekuna, aby się poradzić, co zrobić dalej. Ks. Merkle posłał go z listem do radzcy rejencyjnego Athernera, któremu wszystko opowiedzieć musiał. Radzca kazał mu powrócić do Dillingen, zgłosić się do rektora i zaręczył mu, że tenże go przyjmie. Tak się też stało, i Sebastyan Kneipp wstąpił do gimnazyum w 23-cim roku życia w jesieni roku 1844. Czuł się teraz nad wszelki wyraz zadowolniony, nauka sprawiała mu najwyższą przyjemność. Dwa lata upłynęły, kiedy spostrzegł, że szczęście jego nie jest zupełne, bo chociaż miał teraz wszystko, czego tak długo i tak gorąco pożądał, zaczął zapadać na zdrowiu. Nadmierna praca umysłowa, troski i kłopoty wyczerpały jego siły; z każdym dniem czuł się słabszy.

Odbiegł go sen i apetyt i doszło do tego, że w trzeciej gimnazyalnej klasie, połowę czasu w łóżku przepędził. Leczył go sławny lekarz wojskowy, zajął się nim nawet bardzo szczerze, ale lekarstwa nie przywracały mu zdrowia i wszystkie usiłowania lekarza były daremne. Pomimo choroby uczył się Sebastyan ciągle, jego położenie w najwyższej klasie, pogorszyło się jeszcze; lekarz kazał mu pić wodę ze źródła Rakoczy z Kissingen, ale i to nie pomogło, był tak osłabiony, że po ubraniu się rano musiał pół godziny siedzieć na krzesełku i odpoczywać, zanim mógł iść dalej. Jego lekarz wezwał drugiego doktora, ale i ten nie wiedział rady.

Położenie Sebastyana było rozpaczliwe; ksiądz Merkle od dwóch lat dawał mu mieszkanie i utrzymanie we własnym domu a on wyczerpywał coraz bardziej swoje siły i nie było żadnych widoków, aby mógł jeszcze dalej korzystać z życzliwości swego dobroczyńcy. Gdy ojciec przyjechał po niego, aby go na wielkanocne wakacye zawieść do domu, słyszał biedny młodzieniec, jak gospodarz jednej oberzy mówił do ojca: »Tkaczu, już to pewno po raz ostatni wieziecie syna do domu!«

Pobyt w domu i odpoczynek przywróciły mu jednakże sił cokolwiek, a ponieważ młodość rzadko traci nadzieję i w jego serce wstąpiła otucha. Gdy w roku 1848 ukończył gimnazyum, wydano właśnie rozporządzenie, że na uniwersytecie można ukończyć studya filozofii w jednym roku, w liceum przez dwa lata. Sebastyan chciał się udać do Monachium, ale ani lekarz ani profesor Merkle nie chcieli na to zezwolić z powodu, że klimat w Monachium nie mógł by mu służyć i większej jeszcze nabawić choroby. Była to wielkanoc, zapytał więc lekarza, czy by choć przez lato wytrzymał w Monachium. Lekarz zezwolił i Sebastyan udał się do tego miasta.

Nic go nie bolało, był tylko ciągle tak osłabiony i zmęczony, że z odczytów na które chodził, nie umiał sobie wcale zdać sprawy. Do tego upadku sił przyczyniał się jeszcze także niedostatek. Na uniwersytet wziął ze sobą 60 guldenów, z tych wydał na wpis 10 guldenów, reszta musiała starczyć na mieszkanie, bieliznę i utrzymanie. Rano nie jadał nic, za obiad płacił 4 krajcary, na kolacyą posilał się zupą i chlebem za 3 krajcary. Czasami w niedzielę, kazał sobie dodać, jako nadzwyczajny zbytek, trochę kiszki do zwykłego obiadu. Sześćdziesiąt guldenów starczyło mu w ten sposób przez całe lato, kupił sobie nawet jeszcze sukna na surdut, pierwszą nową sztukę do ubrania; dotąd nosił tylko stare znoszone surduty; burmistrzowa, w której domu początkowo przebywał, dała mu stary płaszcz szarego koloru, którego już nikt nosić nie chciał; stary krawiec zrobił Sebastyanowi surdut z niego, który mu służył przez wszystkie lata w gimnazyum; koledzy żartowali z niego często, że nosi surdut ze szpagatu.

Pewnego dnia poszedł Sebastyan smutny i zniechęcony do biblioteki, aby się trochę rozerwać. Czytanie męczyło go niezmiernie, dla tego też na zapytanie, coby chciał czytać, odpowiedział, że sam nie wie. Podano mu katalog, oczy jego padły na tytuł pisemka: »Metoda leczenia wodą« przez Hahna. Sprowadził sobie tę książeczkę i wyczytał, jak się

wodą z najrozmaitszych chorób wyleczyć można. Ta książeczka stała się dla niego prawdziwą pociechą i zwiastunką lepszej przyszłości. Ponieważ semestr był na ukończeniu, użył Sebastyan czasu wakacyi na studyowanie owej książeczki. Sebastyan ukończył szczęśliwie studya filozoficzne i powrócił szczęśliwy do Dillingen do swego dobroczyńcy.

Tu czytał pilnie dalej swoję książeczkę i równocześnie robił doświadczenia. Gdy o tem opowiadał, wyśmiewano go a nikt nie podał mu środków, aby mógł robić wodolecznicze zabiegi. Swego jedynego dobroczyńcy nie śmiał tem trudzić, chodził więc trzy razy w tygodniu (zimą) do Dunaju i brał połowiczne kąpiele przez 3—4 sekund, chociaż mróz dochodził czasami od 10—15-tu stopni. Zmęczony i słaby wychodził z domu i zawsze powracał orzeźwiony i wzmocniony. Znalazł się sen i apetyt, umysł nabrał sprężystości, z przyjemnością słuchał teraz odczytow i mógł zebrać myśli i wszystkie egzamina wypadły bardzo pomyślnie.



Ubiory włościan na Żmudzi. (Zob. obj. rycin na str. 352.)

Sebastyan miał to szczęście, że się dostał na fundusz i został klerykiem w seminaryum w Monachium; tam uwolniony od troski o utrzymanie oddany naukom, czuł się niezmiernie szczęśliwy. Kuracyę odbywał ciągle i coraz więcej się przekonywał, że woda zupełnie mu zdrowie powróci. Pewnego dnia spotkał Sebastyan w ogrodzie kleryka, który był bardzo smutny i miał łzy w oczach. Na zapytanie o przyczynę smutku, odpowiedział, że po 12 latach nauki, tak jest chory, że nie odbierze święcenia, ponieważ nigdy nie będzie miał sił do wypełniania obowiązków księdza. Sebastyan dodawał mu odwagi i przyrzekł mu, iż go wyleczy.

W podwórzu seminaryjnem był wodotrysk z zawsze świeżą wodą. W nocy o 12-tej lub o 2-giej wychodzili ci dwaj klerycy oknem i robili przy wodotrysku w basenie potrzebne zabiegi wodne. Nie przeszkadzał im w tem mróz, który dochodził nieraz do 12-tu stopni. Skutki były zdumiewające; chory kleryk z każdym tygodniem wyglądał lepiej; gwałtowny kaszel ustał, siły się wzmogły i w krótkim czasie wyzdrowiał zupełnie ku ogólnemu zadziwieniu.

Gdy Sebastyan Kneipp odebrał święcenia kapłańskie, postanowił nie oddawać się wcale leczeniu i być wyłącznie lekarzem duszy; — nie wyobrażał sobie, aby trudno było wytrwać w tem postanowieniu. Gdy jednakże księdza Kneippa wzywano często do łóża boleści ku niesieniu pomocy duchownej, — nie mógł się przemódz, aby nie udzielić rady cierpiącym, w jaki sposób ulgę sobie przynieść mogą. Jego rady zwykle tak dobry odnosiły skutek, że coraz częściej był zmuszony odstępować od swego postanowienia. Później był kapłanem w Boos, gdzie sprawował służbę Bożą dwa lata, służąc Bogu i ludziom gorliwie, — tyle na około siebie miał biednych i opuszczonych — tyle cho-

rych i cierpiących, — którym nie mógł odmówić pomocy. Po dwóch latach został powołany do Augsburga, gdzie stanowczo chciał zaprzestać leczenia, — ale i tu nie mógł na widok cierpień ludzkich zapanować nad sercem swojem. R. 1855 dostał się do Wörishofen jako spowiednik PP. Dominikanek. Zdrowie odzyskał prawie zupełnie, — usilna i sumienna praca, — proste pożywienie i woda — przywróciły mu je w zupełności. Po 25-letnim pobycie jego w klasztorze, umarł proboszcz w Wörishofen i ksiądz Kneipp objął opróżnione probostwo, — leczył nietylko chore dusze, ale i schorzałych na ciele, — nabierał coraz więcej doświadczenia i cudownych prawie dokonywał kuracyi. Z początku przeważnie przychodzili tylko do niego biedni, którzy nie mieli czem lekarza opłacić, dziś sława jego rozeszła się po całym świecie. Sebastyan Kneipp stał się prawdziwym dobroczyńcą cierpiącej ludzkości. Tłumy zbiegają się i otaczają skromną plebanię szlachetnego i bezinteresownego kapłana. Z odległych części świata przybywają tu chorzy szukać ulgi w cierpieniach i znajdują tu ratunek i zdrowie, — a tysiące tysięcy ust szepcą cichą modlitwę do Boga o jak najdłuższe życie temu, który się umiał stać błogosławieństwem dla wszystkich otaczających go i poświęcić życie całe miłości bliźniego.

M. K.

Z ŻYCIA MIKUSIA ROZUMKA.

Ojciec Mikusia siedział z żoną pewnego dnia we wielkim frasunku.

— Do grobu mnie wpędzi ten nieszczęsny Mikuś — powtarzał co chwila.

Matka, choć się też martwiła, przecie zawsze, — jak to zwykle matka, — synka broniła a przynajmniej uniewinniała młodością i niedoświadczeniem.

— Pomięszali mu w głowie — mówiła. — Franek Powsinoga naopowiadał mu różnych rzeczy o mieście i swojem własnem powodzeniu, więc nie dziw, że się Mikusiowi do miasta cknie.

— Głupi jest — zawołał ostro ojciec — jeżeli temu wierzy, co mu Powsinoga opowiada. Ten chłopak bowiem kłamie, jakby mu kto za to płacił.

— Ja też tak myślę, — odrzekła matka — ale nasz Mikuś, chłopiec poczciwy, co jeszcze nigdzie nie był i ludzi nie poznał, myśli, że każdy zawsze prawdę mówi, jak on. Wbił sobie w głowę, że na szewca się nie zda i chciałby zostać służącym u jakiego pana.

— Wycierać obce kąty — przerwał ojciec, — psie spruchy wyprawiać w mieście, hulać, czas P. Bogu kraść, to mu się podoba. Ale niedoczekanie jego! Wezmę go mocno w kluby, a jak nie będzie chciał słuchać, to mu pocięglem tak plecy wytrzepię, jak wtedy, gdy jeszcze był chłopaczkiem.

— Mnie się zdaje, — odpowiedziała matka, — iżby to nie był dobry sposób na niego. Radziłam ja się wczoraj księdza proboszcza, a ten mi tak powiedział: Ja znam Mikusia, to twarda głowa, ale bardzo poczciwy chłopak. Gadanie rodziców nie zdoła go przekonać; on musi sam zbić sobie rogi. Dla tego myślę, że uczynicie najlepiej, gdy mu pozwolicie nająć się za służącego. Jak się przekona, że ten zawód nie jest w istocie taki błyszczący, jak ubranie, czyli liberya, którą służący nosi, to powróci do domu, przeprosi was za zmartwienie i znów usiądzie na szewieckim stołku.

Ojciec wysłuchał tych słów z uwagą i chwilę milczał, zastanawiając się nad niemi. W końcu rzekł:

— Niech tak będzie, ale jeżeli Mikuś mi się w mieście zmarnuje, to pamiętaj, żeś ty radziła.

Matka nie miała czasu odpowiedzieć, bo w tej chwili wpadł Mikuś do izby z gazetą w ręku, wołając:

— Mam już, czego pożądam. Pewien sędzia w mieście poszukuje służącego. Zaraz się zgłoszę.

— Lepiejbyś na swoim zydlu przy warsztacie siedział! — burknął ojciec.

— Ojczuszku — odrzekł Mikuś — kiedy to tak nudno cały dzień siedzieć na jednem miejscu. To nie dla mnie. Taki służący ciągle na nogach, to tu, to tam, gdzie pan każe. Piękne szaty z guzikami, kapelusz z taśmą,... jakżeście to Franka widzieli.

— Franka mi nie wspominaj, bo to jest wierutny cygan; co tknie, to łże...

— Coby tam miał łgać — odparł Mikuś; — powiada, jak jest a cóż on może za to, że tak jest, jak powiada.

— Mikuś! Ty jeszcze może na adwokata wyjdziesz, — odciął mu się ojciec, — kiedy tak gadać potrafisz. Teraz chcesz iść na służącego do sędziego! To dobry początek; poznasz paragrafy i kto wie, czy się na jakiego Salomona nie wykierujesz.

— Ja tam adwokatem być nie chcę — odrzekł Mikuś, — jeno mi pozwólcie zostać służącym.

— Idź tedy, — odpowiedział ojciec, naucz się rozumu, bo choć z ciebie chłop już prawie do żeniaczki, jeszcześ taki głupi, że uczciwy kawałek chleba w zawodzie rzemieślniczym chcesz zamienić na fagasowanie czyli lokajstwo.

— Ale mnie się to bardzo podoba..... odparł Mikuś i chciał jeszcze dalej rozprawiać, lecz ojciec wyszedł z izby, nie chcąc słuchać.

Poszedł tedy Mikuś Rozumek na służącego do pana sędziego. Myślał sobie, że mu zaraz dadzą świecącą liberyą, ale się zawiódł, bo pan sędzia powiedział mu, że tylko czasem, jak go do jakiego państwa z czem pośle, ma iść w liberyi, po inny czas zaś chodzić w swoich zwyczajnych szatach.

To się zaraz Mikusiowi nie podobało; boć najwięcej dla paradowania ładnemi szatami służącym został, ale nic nie mówił.

Pan sędzia zaznajomił go ze wszystkiemi obowiązkami, a było ich nie mało. Podrapał się Mikuś za uchem, gdy sobie rozważył, co on to codzień zrobić będzie musiał. Najmniej do smaku przypadło mu, że też ma konia wierzchowego paść, bo Mikuś z końmi zgoła obchodzić się nie umiał, a nawet ich się bał. Jednak w milczeniu przyjął wszystkie obowiązki na siebie i zaczął je wykonywać.

Choć pan sędzia żony nie miał, to jednak zajmował mieszkanie o kilku pokojach, paradnie przybranych. Mikuś miał co rano w tych pokojach uprzątać. W najparadniejszym pokoju była podłoga jakby ze szkła, Mikuś zaledwie mógł ujść na niej, tak było gładko. Na drugi czy trzeci dzień wydarzyło mu się nieszczęście na owej gładkiej podłodze: padł jak długi, a miotłą, którą trzymał w ręku potrącił piękny wazon do bukietów tak, że spadł i na kawałki się rozbił.

Prawie równocześnie wszedł pan sędzia do pokoju i ręce załamał, gdy to zobaczył. Mikuś myślał, że ta przygoda źle się dla niego skończy i dziękował Bogu, że prócz ostrych słów niczego więcej się nie doczekał. Przysiągł sobie, że odtąd zawsze boso będzie chodził po gładkiej podłodze.

Przeszedł tydzień służby. Mikuś wzdychał jakoś coraz częściej i głową kiwał, bo życie obecne zaczęło mu się na dobre nie podobać. Roboty było dużo, a najwięcej z koniem! A ów koń miał jeszcze to brzydkie przyzwyczajenie, że gryzł i kopał. Ile razy Mikuś do stajni wchodził, tyle razy szedł jak na ścięcie a pan sędzia, który to wnet spostrzegł, żartował sobie jeszcze z jego strachu.

Aleć wreszcie nadeszła chwila, gdzie pan sędzia pozwolił mu wdziać paradny strój i rzekł:

— Mikuś! Dzisiaj nie potrzebujesz mi przynosić obiadu z oberży, bo jestem zaproszony do pewnego hrabiego na obiad. Możesz też sobie trochę pospacerować.

Potem pan sędzia wyszedł, ale zaledwie uszedł kilka kroków, gdy nagle ząb go zabolał tak bardzo, że postano-

wił, choć z żalem nie iść na obiad do pana hrabiego, lecz wrócić do domu.

Mikuś właśnie wzuwał paradne bóty, gdy pan sędzia wszedł.

— Nie mogę iść na obiad, bo mnie zęby bolą — tak rzekł; musisz tedy zanieść liścik do pana hrabiego.

Potem napisał list przepraszający za zawód, zapieczętował i powiedział:

— To zanieś do pana hrabiego, a potem oczywiście przynieś mi obiad.

Mikuś duchem puścił się do domu hrabiego; w paradnem ubraniu tak mu było do twarzy, że aż się ludzie za nim oglądali. Sami pani hrabina list odebrała i przeczytawszy rzekła: »Powiedz panu sędziemu, że bardzo nad tem ubolewamy, że przyjść nie może«.

Gdy jednak Mikuś nie odchodził, zapytała go się, czy ma jeszcze coś więcej do powiedzenia. Mikuś ukłonił się i odpowiedział:

— Pan sędzia powiedział mi, ażebym mu obiad przyniósł.

Pani hrabina zaraz zmiarkowała, że sędzia oczywiście z oberzy (jak zwykle) Mikusiowi obiad przynieść kazał, lecz nie dała tego po sobie poznać. Poszła tedy sama do kuchni, nakładła w koszyk wiele dobrych i smacznych potraw i oddała Mikusiowi. Sam hrabia zaś przyniósł butelkę szampańskiego wina i rzekł: »Powiedz, że życzymy panu sędziemu prędkiego polepszenia«.

Mikuś przyniósł wszystko do domu i ustawił na stole. Pan sędzia jednak miał mało chęci do jedzenia, bo ząb bardzo dokuczał. Więc go Mikuś zaczął zachęcać, mówiąc: »Niech pan sędzia tylko spróbuje; bardzo smacznie wszystko pachnie!«

Dał się sędzia namówić i w istocie wszystko nadzwyczajnie mu smakowało.

— To mi dziś dobry obiad przysłał — rzekł, zajadając.

— To »ona« przysyła, — odpowiedział Mikuś.

— On czy ona, oberzysta czy oberzystka, to wszystko jedno, dość, że wszystko bardzo smaczne.

Kiedy sędzia wszystko zjadł, postawił Mikuś z uśmiechem butelkę wina na stole.

— Czy to wino też ci »ona« dała? — zapytał.

— Nie »ona«, lecz »on« — odrzekł z uśmiechem Mikuś. A oboje życzą panu sędziemu prędkiego polepszenia.

— Jakto? — zawołał sędzia. Czyś im powiedział, że mnie zęby bolą?

Mikuś się zadziwił wielce i odpowiedział:

— A toć pan sędzia pewnie sam w listku o tem napisał....

— Jakto, nieszczęśliwy człowieku, — krzyknął sędzia. Toś ty mój list do oberzysty zaniósł?

— Boże uchowaj — do pana hrabiego.

— A to jedzenie od kogo?

— Od pani hrabiny, a wino od pana hrabiego.

— O człowieku, człowieku! — zawołał pan hrabia. Coś ty też zrobił!... O ty głuptasie!...

Pana sędziego aż zęby więcej boleć zaczęły znowu. Siadł i przemyśliwał, jakby głupstwo służącego naprawić. Wreszcie zawołał znów Mikusia i tak się odezwał:

— Teraz uważaj, ażebyś mi drugi raz głupstwa nie zrobił. Tu masz pięć marek. Pójdziesz mi do ogrodnika i kupisz za te pieniądze piękny bukiet. Potem zanieś go do pani hrabiny i oddaj razem z moją kartą, którą ci tu daję. A pamiętaj, abyś głupstwa nie popełnił.

Mikuś poszedł a pan sędzia usiadł na kanapie i zdrzemnął się trochę.

Po godzinie wchodzi Mikuś do pokoju i kładzie na stół pięć marek.

— Cóż to? Czyś bukietu nie kupił? — pyta.

— Kupiłem i zaniosłem wedle rozkazu — odpowiedział Mikuś, — ale pani hrabina oddała mi pieniądze.

— Jak to było? Człowieku, gadaj! — I pan sędzia powstał z kanapy.

— Gdy wszedłem do domu pana

hrabiego i idę po schodach, widzę, że pani hrabina schodzi właśnie. Zaraz jej bukiet wręczyłem, a ona daje mi dwie marki. Więc ja się kłaniam i powiadam: Bukiet kosztuje pięć marek. Tedy ona dodała mi jeszcze talara i tu są pieniądze.

Sędzia zaczął się bić po głowie z gniewu i wołał:

— Gapiu! Głuptasiu! Przecie to miał być podarunek dla pani hrabiny...... Takiego gapiowatego służącego jeszcze nie miałem i mieć nie mogę.

— A ja właśnie chciałem też prosić pana sędziego o zwolnienie ze służby, — odrzekł na to Mikuś, — bo mi się wcale nie podoba. Człowiek robi, jak najlepiej rozumie, a głupstwo się zrobi...

Na drugi dzień wrócił Mikuś do domu i nie wiele mówiąc zasiadł na zydlu szewieckim i wziął się do roboty.

— Widzisz go? — zawołał ojciec do żony.

— A widzę i cieszę się, że Mikuś sam poznał, iż »nie wszystko złoto, co się świeci«.

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Ubiory włościan na Żmudzi. Rodowi włościanie dyecezyi żmudzkiej w ogólności odznaczają się pobożnością, zamiłowaniem miejsc rodzinnych, zwyczajów i ubioru, niewątpliwie od dawnych czasów niezmiennego kroju. Są charakteru łagodnego, obyczajów nienagannych, pilnujący więcej roli, niż przemysłowych zarobków, a w pracy nie leniwi, mianowicie tam, gdzie oddawna wprowadzony zwyczaj czynszowego rachunku zamiast pańszczyzny, dał im zamożność, obracaną niekiedy na spekulacye handlowe, za przykładem ludności napływowej, pochopniejszej do zysków. Od pewnego czasu dają z siebie piękny przykład mocy postanowienia i wytrwałości w otrząśnieniu się od nałogu pijaństwa.

Język ludu tej dyecezyi w gubernii kowieńskiej rozdziela się na dwa dyalekty, na żmudzki i litewski. Żmudzkim mówią w trzech głównie powiatach: rosieńskim, szawelskim i telszewskim, a także w części poniewieżskiego i prawie w całym kowieńskim, po rzekę Niewieżę.

Dalej ten dyalekt rozciąga się w gubernii augustowskiej w królestwie polskim i w Prusach wschodnich. Litewski panuje w części poniewieżskiego, w wilkomierskim i jeziorowskim czyli nowoaleksandrowskim, oraz w powiatach wileńskim i trockim aż pod Grodno w gubernii wileńskiej. Z różnicą języka różnią się i ubiory, a poniekąd i zwyczaje. Umieszczone w tym numerze (a także w nr. 15 »Światła«) rysunki strojów są wzięte z trockiego i nowoaleksandrowskiego powiatu. Ubiory głowy, namitkami zwane, oznaczają strój kobiety zamężnej, starożytny ubiór wielkiej powagi i skromności. Stroju, z dodatkiem męzkiej, barankiem oszytej czapki, zaprzestano tam już nosić, chociaż niedawno był jeszcze w używaniu. Wynikło to z nierozważnego upominania niektórych ludzi, którzy w niewczesnej gorliwości gorszyli się, że męzki strój nieprzystojnie używany jest przez niewiasty, a nad tem nie raczyli się głębiej zastanowić, że z odjęciem zwyczaju nieraz znika i dobry obyczaj. Jakoż od niedawna wzorowa niegdyś pod sprężystym i sprawiedliwym zarządem hrabiny z Żabów Platerowej starościny subockiej, włość dusiacka, mniej pilnie pod nowym zarządem dopatrywana a zamożna, zaczyna dopuszczać się zbytku w strojach: Kobiety pod namitki podsuwają karbowane czepeczki, moda się szerzy i w ślad za nią zwolnienie obyczajów. Pożądaną dawniej była dziewczyna z dusiackiej włości dla żeniącego się gospodarza; dzisiaj już jej tam nie szukają. Rysunek stroju kobiecego w całej postaci jest strojem młodej dziewczyny ubranej do ślubu. Ubiory te zebrane są z nad granic Kurlandyi, od strony litewskiej.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Szl.
Redaktor: Adam Napieralski w Bytomiu.

Praktyczne rady.

— **Kwaszenie kapusty.** Do kwaszenia wybiera się kapusta głowiasta, której głowy są ścisłe, białe, a żebra liści i głąby cienkie, delikatne; ktoby chciał mieć przednią i piękną kiszoną kapustę, powinien odkroić wszelkie liście zielone, rozkroić, choć na pół główki, wyrznąć z nich głąby i grubsze żebra i dopiero szadkować. Im dłużej postoi kapusta na pniu, tem lepiej dojrzeje i będzie smaczniejsza. Dla tego wycina się ją dopiero w październiku. Niektórzy dozwalają jej zamarznąć na pniu i wycinają natychmiast, gdy odtaje (za dobrą szczególniej uważają, gdy na zamarzłą deszcz spadnie), gdyż dłużej potem pozostawiona gniłaby. Zdaje się, że przemrożenie podobnie na kapuście skutkuje, jak jej przegotowanie, którego to sposobu niekiedy używają przed jej zakwaszeniem, a co ją czyni delikatniejszą, ale mniej białą.

Im drobniej pokraje się (poszadkuje) kapustę, tem będzie lepsza. Beczek używa się pospolicie dębowych, a najlepsze są z wina, gdyż w takich prędzej kapusta kwaśnieć zaczyna i bywa smaczniejszą. — Przy nakładaniu kapusty uważać należy, by kapusta ściśle była złożona, ubita, co powszechnie się czyni; ale jest zwyczajem w wielu gospodarstwach solić ją przytem i dodawać różne zioła, korzenie, owoce itp. — Dodatki te mogą mieć jedyny ten cel, ażeby nie dopuściły kapusty do gnicia, lub udzieliły jej swego smaku i zapachu; wreszcie może się obejść kwaszenie bez soli, ile że skoro kapusta skwaśnieje, dosyć to wystarczy do jej trwałego zachowania. Ktoby chciał przyspieszyć kiszenie, przylać może cokolwiek octu lub wina do utłoczonej kapusty, lub posypać ją trochą cukru, i potrzymać w miernie ciepłem miejscu, a wkrótce fermentować zacznie, choćby nie była solona. Dla smaku dodaje się jałowcowe jagody, kminek, koper, pokrajane pigwy, kwaśne dzikie jabłka, winogrona, rodzynki i t. p. Znaną jest robota ułożenia i zakwaszenia kapusty. Nasypawszy na dno beczki warstwę kapusty na 8 do 12 ctm. grubą, ubija się ją mocno drewnianym stęporem i kto zechce posypuje warstwą powyżej wymienionych dodatków i cokolwiek soli, i w ten sposób postępuje dalej, dopóki beczka się napełni. Na dużą beczkę n. p. dwukorcową wystarczy dwa litry dodatków, a soli nie wypada więcej użyć nad 2—3 klgr. — Po napełnieniu pokrywa się kapustę czystem drewnianem, jak górny otwór beczki szerokiem dnem, a ten przyciska kilkoma czystymi twardymi byle nie wapiennymi kamieniami — i pozostawia w miernie ciepłem miejscu. Fermentacya wkrótce się okazuje, kapusta coraz bardziej opadać będzie i coraz więcej wyda na wierzch soku, a nareszcie okaże się na temże piana, potem znowu sok ten opadać zacznie, da się czuć woń kwaśna, co będzie znakiem ukwaszenia się kapusty; skutek ten nastąpi w 10, 14, 16 a nawet aż w 30-tym dniu, a to stósownie do większego lub mniejszego stopnia ciepła miejsca. Wtedy już dobrze jest przenieść kapustę do chłodnej piwnicy, gdzie do roku dobrze się zachować może. Dla dobrego zachowania kwaśnej kapusty, strzedz trzeba, aby nie zamarzła, poczem by prędko już się zepsuła. — Uważać także należy aby zawsze w beczce pokryta była własnym kwasem. Dla tego za każdem jej ujęciem z beczki, urównać ją należy i przyłożyć napowrót denkiem i kamieniami, które obmyć trzeba, gdyby spleśniały. Jeżeli za mało kwasu, przylać można wody, lecz nie zdarzy się ta potrzeba, jeżeli kapusta dobrze została ubita. Gdyby kapusta z wierzchu psuć się zaczynała, należy warstwę jej zrzucić a resztę zdrowej przykryć i przycisnąć kamieniami.

— **Jak nogi i w ogóle inne części ciała od przemarznięcia zabezpieczyć.** Kto odbywa podróże w zimie podczas większych mrozów pieszo, konno, wozem lub koleją w następujący sposób może nogi lub inne części ciała od przemarznięcia zabezpieczyć: Skropić bibułę, szkarpetki lub pończochy spirytusem winnym, obwinąć bibułą nogi, wdziać szkarpetki, te z wierzchu jeszcze raz bibułą obwinąć i włożyć obuwie. Oprócz tego można jeszcze obuwie kilkakrotnie z wierzchu obwinąć papierem a skutek będzie tem pewniejszy. Tak opatrzywszy nogi, można przez cały dzień jeździć konno w takie mrozy, podczas których bez tego zaopatrzenia trudno jest na przemrożenie nóg się nie narazić.

Ogród owocowy.

(Ciąg dalszy.)

Wiśnia słodka albo Czereśnia znajduje się w Europie w stanie zdziczałym; pochodzi pierwiastkowo z Małej Azyi; była już znaną w starożytności. W sprzyjających warunkach drzewo dosięga znacznej wielkości i późnego wieku. Czereśnia lubi grunt nie zbyt ciężki, gliniasto-piaszczysty, przepuszczalny. Ze wszystkich drzew owocowych jest najmniej pod względem gruntu wymagającą i zadowalnia się nawet zupełnie lekkim piaskiem. Na cięższe, wilgotne grunta przydatniejszą jest

Wiśnia zwyczajna kwaśna pochodząca również z Małej Azyi i upowszechniona w całej Europie. Drzewo wiśni nie dorasta nigdy znacznej wielkości; ma zwisające gałęzie i drobne, połyskujące, ciemno-zielone liście. Udaje się na miejscach wyniosłych, na słonecznych, ciepłych stokach pagórków. Zadawalnia się wprawdzie każdym gruntem, ale też i wydajność oraz jakość owocu jest zależną od tych warunków.

Orzech włoski jest pięknem, wyniosłem drzewem, z gęstem, wykrawanem liściem. Pierwotna jego ojczyzna nie jest do-

brze znaną: prawdopodobnie pochodzi ze wschodu. W żyznym głębokim gruncie wyrasta bujnie; na wyniosłych miejscach dobrze wytrzymuje zimę, zwłaszcza odmiana zwana czarnym orzechem, pochodzącym z Ameryki.

Orzech laskowy czyli leszczyna jest powszechnie znanym krajowym krzewem pospolitym w lasach całej Europy. W ogrodach sadzone są zwykle odmiany o wielkim owocu i na żyznym, wilgotnym gruncie obficie obradzają. Rozmnaża się leszczyna przez odkłady (ablegry), albo też za pomocą szczepienia.

Krzew winny jest najważniejszym przedstawicielem owoców jagodowych. Nie można stanowczo powiedzieć, gdzie jest właściwie jego ojczyzna, gdyż uprawa jego jest tak starą jak ród ludzki. W ogrodach nawet w ostrzejszym klimacie daje się uprawiać w szpalerach przy murze.

Morwa czarna i biała pochodzi z Persyi, Syryi i Chin. Biała jest przedmiotem uprawy głównie dla liści, będących jak wiadomo pożywieniem jedwabników; czarna zaś daje owoce słodkokwaskowatego smaku. Drzewo morwy udaje się dobrze na gruncie żyznym, głębokim, ale przytem ciepłym, w miejscach od zimnych wiatrów osłonionych.

Agrest, Porzeczka, Porzeczka czarna, Malina i Jeżyna powinny się znajdować w każdym ogrodzie, zwłaszcza, że tak łatwo dla nich o miejsce.

Agrest i porzeczki, hodowane jako drzewka pienne, coraz więcej się upowszechniają. Wymagają one żyznego silnego gruntu, niezbyt wilgotnego, ale też nie zanadto suchego. Maliny wymagają nieco troskliwszej uprawy, ponieważ dwuletnie jej łodygi po wydaniu owocu, obumierają i muszą być wycinane. Grunt pod maliny powinien być żyzny, silny, raczej ciężki i chłodny, niż lekki i ciepły; obfite nawożenie jego jest pożądane. Malina nieźle się udaje nawet w miejscach zacienionych, które inaczej trudno zużytkować. Jeżyny rzadko kiedy stanowią przedmiot uprawy ogrodowej, ponieważ amerykańskie o wielkich jagodach ich odmiany mało są jeszcze upowszechnione. Niekiedy użyć ich można na plantacye ochronne i do obsadzenia płotów; uprawa ich prawie taka sama jak i malin, tylko że grunt pod nie może być znacznie gorszych przymiotów. Dojrzewanie bardzo obfitych i smacznych jagód trwa od lata aż do jesieni.

Truskawki i poziomki uprawiają się w rozmaitych gatunkach i odmianach, częścią europejskiego, częścią amerykańskiego pochodzenia. Miejsca osłonione, słoneczne, dobry, silny, żyzny, lecz nie wilgotny, pulchny grunt, najwięcej sprzyjają dobremu ich wzrostowi.

(Dokończenie nastąpi.)

Rozmaitości.

* **Nowy sposób wydobywania z wody zatopionych okrętów.** Liczba okrętów, ginących corocznie w nurtach morza, zwiększa się z każdym rokiem, a wartość ich, jak i towarów, które morze pochłania, oblicza się na miliony. Nie dziw więc, że ciągle ruchliwy i pełen wymysłów rozum ludzki najróżnorodniejszych próbuje środków, jakby, — jeżeli raz już zatonieniu okrętów zapobiedz nie można, — przynajmniej znowu wydrzeć nienasyconym głębokościom morza drogocenne ofiary. Dotychczasowe sposoby okazały się jednakowoż wszystkie nieodpowiednimi, bo były pod każdym względem niewystarczające i za drogie. Polegały one na tem po większej części, że kilka okrętów razem wyciągało za pomocą wind kilku okręt zatopiony, do którego poprzednio nurkowie poprzytwierdzali łańcuchy i liny. Nawiasem powiedziawszy, wydobywać znowu na powierzchnię można tylko okręty, które zatonęły na stósunkowo niewielkich głębinach, to jest takich, do jakich nurkowie morscy spuścić się mogą, czyli najwyżej do 4,5 metrów głębokości.

Pewien Amerykanin wpadł teraz na inny sposób, zupełnie odrębny od poprzedniego wprawdzie, ale też już nie zupełnie nowy. Używa on w tym celu przyrządu, składającego się z ogromnych kul żelaznych, w środku próżnych, o średnicy co najmniej 20 stóp. Kule te, posiadające z dwóch przeciwległych sobie stron wentyle czyli zasówki, napełnia się nasamprzód wodą, wpuszcza się do wody i przytwierdza do okrętu spoczywającego na dnie morza. Następnie wypiera się wodę z dwóch kul, przytwierdzonych jednej z przodku, a drugiej z tyłu okrętu, za pomocą osobnej pompy, która wdmuchuje powietrze przez jednę zasówkę, przez co woda drugą zasówką otwartą zmuszona jest wychodzić. Po ustąpieniu wody zamyka się drugą zasówkę i napuszcza się do próżnej kuli jak najwięcej powietrza. Dwie te kule, które, napełnione wodą, cięższe są od wody i dla tego zanurzyć się w niej musiały, teraz, ponieważ w nich tylko się powietrze znajduje, są lżejsze od wody, a unoszą podobno wedle obrachunku Amerykanina w wodzie 600 do 700 ton po 20 centnarów, to jest 12 do 14 tysięcy centnarów. Już dwie takie kule mają być w stanie podnieść okręt cokolwiek i ustawić go na dnie morza w zwykłej jego postawie. Teraz wypiera się w wyżej już podany sposób wodę także z wszystkich innych kul równocześnie i napełnia się je powietrzem zwyczajnem lub zrzedzonem (gazami). W miarę napuszczania powietrza kule stają się coraz lżejsze i dążą ku powierzchni, pociągając za sobą równocześnie okręt.

I w tem cała sztuka!

Podobnego sposobu użyto już przed 30 laty do wydobycia okrętu zatopionego, w jednem z jezior Szwajcaryi. Próba udała się wprawdzie, cały jednak przyrząd jeszcze nie był tak wydoskonalony, jak obecnie, i to pewnie było powodem, że tak długo pomysł ten świetny, choć niby prosty, spoczywał w zapomnieniu.

* **W towarzystwie grzechotnika.** Nieprzyjemną noc spędził niejaki Donahue, irlandczyk, służący u jednego z farmerów w oko-

licy Brocken Row w stanie Nebraska. Zajmował on tu świeżo zbudowany domek drewniany, niewykończony jeszcze i nieotynkowany. Owóż dnia pewnego, wieczorem, znużony całodzienną pracą irlandczyk, położywszy się do łóżka w chacie swej zasnął snem twardym. W nocy, jakby przeczuciem złowrogiem tknięty, Donahue przebudziwszy się, przy słabem oświetleniu księżycowem, dostrzegł zwieszające się od sufitu, cielsko olbrzymiego węża, który głową dotykał nieomal kołdry robotnika. Przerażony, zdrętwiały nieomal z przestrachu irlandczyk przekonał się niebawem, iż miał do czynienia z grzechotnikiem. Straszne zwierzę powoli zsunęło się na kołdrę, podniósło głowę i błyszczącemi czyma jęło wpatrywać się w twarz nieruchomie leżącego człowieka, poczem snać nieruchomością tą uspokojone, najwygodniejszego zaczęło po łóżku szukać legowiska. Gadzina wsunęła się nareszcie pod kołdrę, a owinąwszy się dokoła nogi robotnika, głowę złożyła na piersiach jego i zasnęła. Bez znaku życia, w obawie aby najlżejszem drgnięciem nie rozbudzić węża, przeleżał 10 godzin biedny irlandczyk dopóki służba farmera zdziwiona nieobecnością jego, nie zajrzała do chaty nie przekonała się o położeniu, w jakiem się znajdował. Dobrze wymierzony cios siekierą uwolnił Donahuego od towarzystwa grzechotnika, liczącego 4 łokcie długości, a posiadającego 13 obrączek w grzechotce. Irlandczyk przypłacił wypadek ten chorobą.

* **Nowa statystyka ludności żydowskiej:** Europa liczy 5,400 tys. żydów, Azya 300,000, Afryka 350,000, Ameryka 250,000, Australia 2,000. Ogólna więc cyfra izraelitów na całym świecie wynosi 6,302,000 głów, rozlokowanych jak następuje: w Niemczech 540,000, w Rosyi 2,552,000, w Austro-Węgrzech 1,644,000, we Francyi 130,000, w Turcyi 104,000, w Rumunii 265,000, w Bułgaryi 10,000, w Szwajcaryi 7,000, w Danii 4,000, w Serbii 3,500, w Belgii, Grecyi i Szwecyi 3,000 w Hiszpanii 1,900, w Gibraltarze 1,500, w Turcyi azyatyckiej 195,000, w Rosyi azyatyckiej 47,000, w Persyi 18,000 w Azyi środkowej 14,000, w Indyach 19,000, w Chinach 1,000, w Abisynii 2,000, w państwie marokańskiem 6,000, w Egipcie 8,000, w Trypolisie 6,000, w Tunisie 5,000. Z pomiędzy 250,000 wyliczonych w Ameryce, 230,000 zamieszkuje w Stanach Zjednoczonych. Cyfry powyższe mają być najzupełniej dokładne.

* **Szkło** nawet pod znacznem ciśnieniem nie przepuszcza ani wody ani powietrza; tymczasem przewoźnicy na jeziorach włoskich i szwajcarskich czynią dla zabawy turystów następujące doświadczenie. Pustą butelkę, starannie zakorkowaną i opieczętowaną, spuszczają na linie do głębokości 50 łokci i po niejakim czasie wyciągają pełną wody. Mógłby kto sądzić, że woda przesiąknęła przez szkło, rzecz się ma jednak inaczej. Pod wpływem ciśnienia czterech atmosfer pory korka i laku rozszerzyły się i przez nie woda przeniknęła do wnętrza. Można się o tem przekonać, zalepiając gliną butelkę; wtedy kropla wody do niej się nie dostanie. Niejeden widząc rosę na karafce przyniesionej do pokoju, wyobraża sobie, że woda przez nią przesiąka, tymczasem jest to para wodna z atmosfery, która w zetknięciu z zimną powierzchnią szkła, w postaci rosy na niem osiada.

* **Oprócz naszej kukułki,** jeden tylko ptak w La Plata, Molothrus niger, składa jaja w gniazdach innych ptaków. Do tego gatunku należy także Molothrus pecoris z północnej Ameryki, który taki sam ma zwyczaj. Ptaki te pod względem budowy i sposobu życia podobne są do naszych szpaków; lubią siadać na grzbiecie konia lub krowy i nieraz widzi się ich tam kilka razem.

* **Nietylko kameleon** ma własność zmieniania barwy, zdolność tę posiadają również mątwy czyli sepie. Na głębokiej wodzie mają one kolor brunatno-purpurowy, na lądzie przybierają one odcień żółtawo-zielony, a przy bliższem badaniu okazuje się, że właściwie mają barwę szarą z żółtemi plamkami. Drażnione igłą lub poddane działaniu słabego prądu galwanicznego, stają się prawie zupełnie czarne. Zjawisko to przypisywane jest istnieniu małych pęcherzyków, zawierających barwne ciecze, a mogących dowolnie kurczyć się i rozszerzać. Pęcherzyki te a raczej komórki zowią się chromatoforami.

ŻARTY.

Zawsze to samo.

— Czegoś taki smutny, kiedym ci zapłacił rachunek? Inaczej tobyś się mógł obawiać, że majster cię ze złości wygrzmoci, ale tak?

— A bo to tak, proszę pana, jak majstrowi nie przyniosę pieniędzy, to mię ze złości wygrzmoci, a jak mu przyniosę, to z radości upije się, a wtedy mnie także wygrzmoci.

Straszna śmierć.

— Słyszałeś już, nasz przyjaciel X. utonął!

— Mój Boże, jakie to straszne, on, co nigdy kropli wody do ust nie brał, musiał się jej tyle nałykać.

Miłość bliźniego.

— Cóżto sąsiad taki wesoły? Czy zboża się poprawiły?

— Nie, ale u sąsiadów grad wszystko wybił ze szczętem.

W sądzie.

Sędzia: Co oskarżony woli, dwa dni aresztu, czy 10 guldenów.

Oskarżony: Proszę o 10 guldenów.

Dobre świadectwo.

— Jakto? — pyta pani zgłaszającej się nowej służącej — w jednym roku aż dwadzieścia razy zmieniłaś służbę?

— Ano tak — odpowiada służąca — cóż ja temu winna, że się drą o mnie? Toć każda pani chce mieć dobrą służącą!

Treść zeszytu 22 „Światła":

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Sz.